

jest w Sielance, w ogrodzie, z kordelasem w rękę. Przed nim toczy się walka zacięta... Syn cofa się, wyczerpany z sił długo trwającym pojedynkiem z przeciwnikiem, świetnie władającym szpadą. Na twarzy Karola maluje się znużenie i osłabienie... Wtedy on przyskakuje z tyłu do niezanego młodzieńca i w plecach jego topi po rękojeść ostrze myśliwskiego noża. Trup krwią zbluzgany pada u stóp mordercy... Okropność! On, Mieczysław hr. Wielohradzki, potomek wojewodów i kasztelanów, wnuk zasług i cnotą słynących w ojczyźnie mężów, popełnił nikczemną zbrodnię, jak pierwszy gorszy zbój z przedmieścia!... Nie uniewinnia go obrona honoru, bo wie, że nie chodziło mu wcale o zmazanie plamy z czci rodzinnej, tylko o usunięcie z drogi człowieka, stojącego na przeszkodzie w dopięciu ohydneho celu sprzedania parweniuszowi córki — niewinnej ofiary — za cenę długów, grożących mu hańbą i poniżeniem w oczach świata, do którego należy krwią, tytułem i nazwiskiem. Teraz żyje jak pasożyt na koszczie zięcia, którym pogardza, którym się brzydzi... noc zaś każda przynosi torturujące go wspomnienie podłe dokonanego mordu... Sumienie, milczące w dzień, bo znieczulone chwilowo cynizmem, odzywa się obecnie gwałtownie i uporczywie, ciężarem zmory gniołąc mu piersi, albo usuwając sen z powiek.

O świcie zerwał się z posłania, nie mogąc ścierpieć dłużej nieznośnej męczarni.

Otrzeźwiwszy się umyciem, wdział na siebie pospiesznie przez służbę przygotowany wykwinny strój myśliwski, który przywiózł z sobą z Warszawy — i wyszedł na obszerny dziedziniec. Tu panował już ruch, poprzedzający łowy.

Leśniczy wydawał rozkazy gajowym, aby wyruszyli przodem na wozach pod bór, czerniejący na widnokręgu, a o pięć wiorst od rezydencji książęcej oddalony, i tam wyznaczili stanowiska dla zaproszonych na polowanie gości. Część tych ostatnich pojechać miała dwoma parokonnymi brekami, oczekującymi na nich w pobliżu kolumnady, zdobiącej fronton renesansowego pałacu. Dla młodszych panów masztalerze oprowadzali osiodłane mierzyny, włożone do skoku przez płoty i rowy, oraz do biegu po zaoranych polach i krzakami porośniętych podlesiach. Przy wspaniałej bramie wjazdowej paru psiarzyków trzymało na jedwabnych smyczach rasowe ogary, które wraz z nagonką włościańską, oczekującą już w lesie, powinny były wypłoszyć z gąszczów i wygnać na ugory wczoraj jeszcze wytropione i osaczone w legowiskach stado dzików. Inni psiarze uspokajali niecierpliwą się gromadę skomlających i wyjących kundli, zaprawionych do rzucania się na najcięższe odyńce i do zmuszania rozjuszonego zwierza, by wychodził na strzały.

Lokaj, przez marszałka dworu przeznaczony do usługi Wielohradzkiego, spostrzegłszy go na podwórku, podbiegł doń ze strzelbą.

— Proszę jaśnie pana — rzekł lokaj, broń podając.

— Czy nabita?

— Obie lufy proszę pana hrabiego... kulami.

— Jak tam te 'psiska dra się niemłosiernie! — szepnął Wielohradzki, dotąd jeszcze roznerwony przykrem wrażeniem snu, trapiącego go w nocy. Zbliżył się do psiarzyków i pytał: — Czy nie możecie ich uspokoić?

— To niecierpliwie juchy, jaśnie panie. Jużby chciały kudłać pojedynka, albo maciore.

W tejże chwili dwa ogromne pokurcze, po brytanie i suce owczarskiej, wyrwawszy gwałtownie szarpnięciem niedorostkowi z garści sznur, na którym ich trzymał, rzuciły się na siebie zajadle, tarzając się w żwirze i gryząc wzajemnie, tuż... tuż przy Wielohradzkiego nogach, opiętych zamaszowami kamaszami, sięgającymi mu do kolan. Hrabia wciąż jeszcze niezupełnie przytomny, jakby odurzony sennością nieprzewyciężoną, zamiast w bok odskoczyć, chwycił podaną przez służącego fuzyę za lufy i kolbą — jak maczugą — grzmotnął w łeb naprzód jednego, następnie drugiego psa. Oba porwały się z ziemi w okamgnieniu,

a stanawszy na tylnych łapach, szły z podniesionymi w rółę przednimi na natręta, przeszkadzającego im spór familijny załatwić, według przyjętego wśród psów zwyczaju. Wielohradzki zasłonił się strzelbą. Łapy kundli spadły niemal równocześnie na jej zamki. Rozległ się odgłos jednego i wnet potem drugiego strzału. Hrabia, przeszyty kulami dwururki, leżał na ziemi. Białą kamizelkę i wytworne jeszcze ubranie myśliwskie zaczerwieniła krew, buchająca z olbrzymiej rany.

Ludzie się zbiegli. Rannego przeniesiono do pałacu i położono na nieposłanem dotąd łóżku, w którym spędził noc dzisiejszą. Zawezwano lekarza, mieszkającego w jednej z oficyn za parkiem. Wielohradzki nie mówił nic, nie jęczał nawet... czuł, że z upływającą krwią i życie zeń ucieka powoli, a jednak w słabnącej jego pamięci rysował się i barwił nieustannie obraz mordu, popełnionego w Sielance. Naprzód wyraźny, zatracił następnie kontury i farby, przemieniając się w gęstą mgłę szarą, coraz bledszą... coraz bledszą... a jednak nieprzejrzystą... napełniającą pokój... spada-



Karol powalił się na siedzenie obok śpiącego agenta.

jącą mu ze stropu na twarz i ciało... obejmującą je chłodem wilgotnym... otulającą jakby olbrzymim, miękkim całunem. W mgłę tej tonęły i rozplywały się: wrażenia wzroku i myśli... pamięć... wreszcie dusza.

Gdy doktor nadszedł, mógł już tylko skonstatować śmierć. Mieczysław hrabia Wielohradzki nie żył.

\* \* \*

Tegoż samego dnia w Marcelinie, również o świcie, Karol — wygrawszy w nocy parę tysięcy rubli w bakarata — wsiadał do czekającej nań dwukonnej dorożki. Suto widocznie uraczony agent kiwał się już w niej od kilku minut, zmorzony snem pijackim.

Przed bramą stał starzec wysoki, chudy, strasznie błądy, z rozwiewającym się nad czołem siwym włosem. Sięgnął do kieszeni po rewolwer.

Młody Wielohradzki, który go nie spostrzegł, stojąc w powozie nachylił się do ucha stangreta, żeby mu powiedzieć adres, pod jaki ma go odwieźć. Wtem padł strzał... Karol, trafiony w serce, zważył się na siedzenie obok śpiącego agenta. Konie przerażone poniosły dorożkę w stronę rogatki Belwederskiej.

Rozległ się drugi strzał... Siwy starzec na szosie, pokrytej gęstą kurzawą, oddawał Bogu ducha w ostatnim dreszczu konania.

\* \* \*

Pogrzeb obu Wielohradzkich odbył się równocześnie w Warszawie na trzeci dzień po opisanych wyżej wypadkach. Za dwoma karawanami pierwszej klasy postępowali: baron Korf i jego blada żona, odziana w grubą żałobę. Dalej szli jej krewni, reprezentanci najznakomitszych rodzin arystokratycznych w kraju. W tym świetnym orszaku brakło tylko ciotki Dulskiej, która dla uniknięcia przykrych wrażeń i zmęczenia, jakie zwykły wywoływać wspaniałe pogrzeby, zaraz po otrzymaniu wiadomości o śmierci ojca i syna, wyjechała do Deauville jak twierdzono: „z polecenia lekarzy“.

Zwłoki nieboszczyków spoczęły w grobowcu familijnym na Powązkach. Żałobni uczestnicy pochodu rozmawiali z sobą o dziwnym zbiegu okoliczności, który sprawił, że jednego i tegoż samego dnia, niemal o tejże samej godzinie i minucie, wśród faktów nie pozabawionych cech groźnego tragizmu, zginęli tak marnie dwaj ostatni dziedzice wielkiej, prawie historycznej tradycji. Ten i ów wspomnieli wprawdzie po cichu, że właśnie ci ostatni dopiero sprzeniewierzyli się haniebnie onej zacnej tradycji i niejedną plamą skalali słynne niegdyś nazwisko, nikomu jednak nie przyszło na myśl przypisać ich zgonu wyrokom wyższej sprawiedliwości, karzącej najskryciej utajone występki i zbrodnie.

## VII.

### Na południe!

W dwa dni potem baron Korf zawiózł żonę do Miłosny. Tam spędziła lato w wygodnym białym domku, kryjącym się w gestwinie ładnego ogrodu, otoczonego wokoło lasem. Mąż czuwał nad nią pieczołowicie, przyjeżdżając niemal codziennie i okazując jej ciągle głęboki szacunek. Krewni i znajomi odwiedzali ich tu kiedyś niekiedy, zwłaszcza panie, które czasem zwracały niby od niechcenia uwagę na stan Zofii, ona jednak — rumieniąc się — wnet o tem przerywała rozmowę.

Na początku jesieni wrócić musiała do Warszawy, a w najbliższym im świecie rozniosła się puszczona w bieg dyskretnie pogłoska, że młoda baronowa Korf przyjmować czas jakiś nie będzie, bo nie pozwala jej na to zdrowie. Korfowi — którego widywano w biurze, na giełdzie i w mieście — składano z tego powodu powinszowania, które on przyjmował bez najlżejszego zmieszania, z powagą i spokojem. Wiedział dobrze, że zdąży powoli, lecz pewnie do wytkniętego sobie z góry celu. W końcu listopada zawiadomił żonę, że pojedą na Południe, wichry bowiem północne

i częste przymrozki zapowiadają w kraju bardzo srogą zimę.

— A co będzie z twoimi interesami? — pytała Zofia.

— Nie myślę o interesach, gdy chodzi o ciebie — odparł tonem pełnym życzliwości. — Czyż zresztą nie podzielasz mego zdania, że dzieć twoje nie w Warszawie przyjść powinno na świat?

Pierwszy to raz po upływie kilku miesięcy mówił Korf o przyszłym macierzyństwie żony. Zofii krew uderzyła do głowy, więc jakając się szepnęła:

— Tak... masz słuszność... wyjedziemy kiedy zechcesz... i kiedy każesz.

W tej chwili przyszło jej na myśl, jaki skandal wywołałoby mogło w złośliwym, wyższym towarzystwie warszawskiem zestawienie daty jej ślubu z dniem, w którym zostanie matką. Zrozumiała, że baron urządzi wszystko w sposób, chroniący ją od wszelkich podejrzeń, mogących szkodzić jej dobrej sławie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

